

Nasz rejs...



ISLANDIA

DALEKA, SUROWA I PIĘKNA

Już w Bergen próbował nas uświadomić pewien niemiecki żeglarz, że ta wyprawa to czyste szaleństwo, bo tam potężnie wieje, jest strasznie zimno i w ogóle nie damy sobie rady. Wyruszyliśmy jednak w ten „straceńczy” rejs, w nocy - minutę po północy.

Sławek Matkowski

Rozkoszowaliśmy się myślą o pływaniu wśród wielorybów, orek, bieganiu po lodowcach, oglądaniu gejzerów, wulkanów... Niepokoił się jednak, że będzie to ciężka żegluga-północny Atlantyk, niższe rodzaje się nad Islandią. Nic nie wskazywało, że może być zimno. Całą so-

botę, niedzielę i poniedziałek panowały wspaniałe warunki plażowe. „Miejscowi” twierdzili, że to tylko chwilowe zaburzenia pogodowe i że wkrótce powinno się uspokoić - zacząć łać i wiać.

Po południu osiągnęliśmy pozycję w pobliżu wież wiertniczych na

norweskich polach naftowych i mieliśmy okazję z bliska obejrzeć te potężne konstrukcje.

Reszta dnia minęła w spokoju, nie licząc licznych ataków choroby morskiej u naszego kolegi Richarda Johnsona. Skłamałbym mówiąc, że inni nie chorowali, ale Richard był

po prostu mistrzem tej choroby. Przez cały rejs nie przyzwyczał się do falowania, odmawiał przyjmowania pożywienia i wody. Richard był jednak prawdziwym twardzielem - kontynuował rejs wiedząc, co go czeka np. między Wyspami Owczymi a Islandią.

Szetlandy na trawersie

Kolejnego dnia minęliśmy lewym trawersem Szetlandy, a nieco później południk 0. Trzeci dzień żeglugi był fantastyczny: od godziny 0400 wiało 7^B i musieliśmy zrzucić genuę i grota. Płynęliśmy już tylko na małym kliwrze i bezanie. Jest to najlepsza konfiguracja żagli na *PANORAMIE* przy takich wiatrach. Płynąc w półwieź pokonywaliśmy łagodne 4-metrowe fale i czasem tylko trzeba było się uchylać przed obfitymi bryzgami wody. Jeden z porywów wiatru spowodował mocniejszy przechył i chwilę później na pokładzie ukazał się nasz kapitan Jurek Kosz - cały zlanym wodą, z równie mokrymi dwiema kurtkami i czapczkami. Niestety męsa kapitańska była po zawietrznej, a jej skajlajt uchylony.

Żegluga na psiej wachcie nie była już taka wesoła. Do 7 stopni Beauforta dołączyło 9 stopni Celsjusza. Naszą wachtę uratował bohaterski kuchcik „Lesiu”, gotując nam gorące zupki.

Pod „owczą” banderą

Tego dnia zacumowaliśmy na Wyspach Owczych (ang. Faroes).

Trudno powiedzieć, czy ten ląd jest: czy wyspiarzy, czy Duńczyków? Miejscowi byli wściekli widząc na naszym maszcie banderkę Danii, a niektórzy odgrązali się nawet, że pójda ze skargą na policję! Szybko więc zakupiliśmy nową, „owczą”, banderkę i zamieniliśmy je.

Od miejscowego Polaka dowiedzieliśmy się, że kilka dni wcześniej odbyły się na pobliskiej plaży coroczne „dożynki” grindwali polegające na masakrowaniu kilku setek wielkich delfinów po zapędzeniu ich



Potężne platformy wiertnicze budzą respekt...

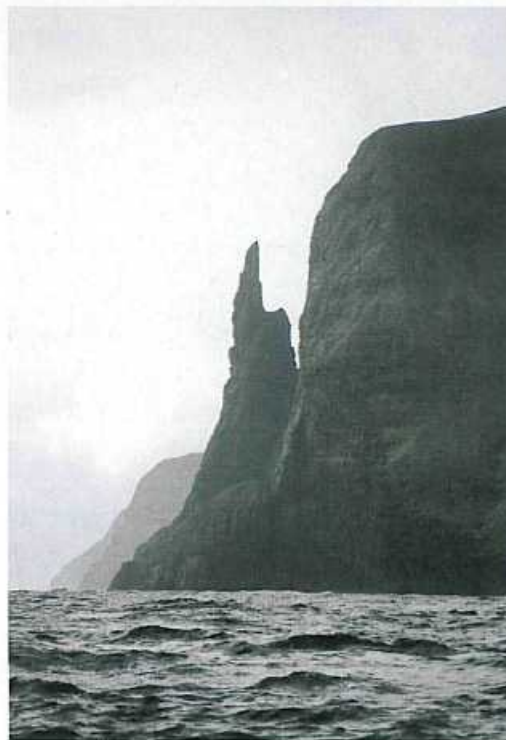
do małej zatoczki. Woda w morzu zabarwia się krwią, co nie przeszkadza zezwalać na udział w tym „święcie” (bo jest to podobno tradycyjna forma demonstrowania męstwa) również dzieciom.

Ciekawe jest, że jeszcze niedawno, aby zakupić tu alkohol należało zamówić go w firmie, która sprawdzała, czy delikwent płaci podatki i dopiero po tej „lustracji” sprowadzała trunki. Okres oczekiwania... do trzech miesięcy. Czyżby to prohibicja doprowadziła do tego, że wyspiarze ci mieli ostatnimi czasy najwyższy PKB w Europie?

Poza tym można powiedzieć o tych wysepkach, że urzekają swym surowym pięknem. Podczas wyjścia odwróciło to naszą uwagę od prognozy pogody, którą poznał tylko kapitan. Jej treść nie potwierdziła się jednak na morzu, bo zamiast 7^B, w porywach wiało 9^B i utworzyły się wysokie na 5-6 m fale. Nieco nas to zaniepokoiło, bo kto zechce w takich warunkach gotować?

Islandia na horyzoncie

Zarys lądu wywołał prawdziwy aplauz. Już nieco bliżej wybrzeża dostrzegliśmy szczyty ogromnych lodowców, co powaliło nas na kolana.



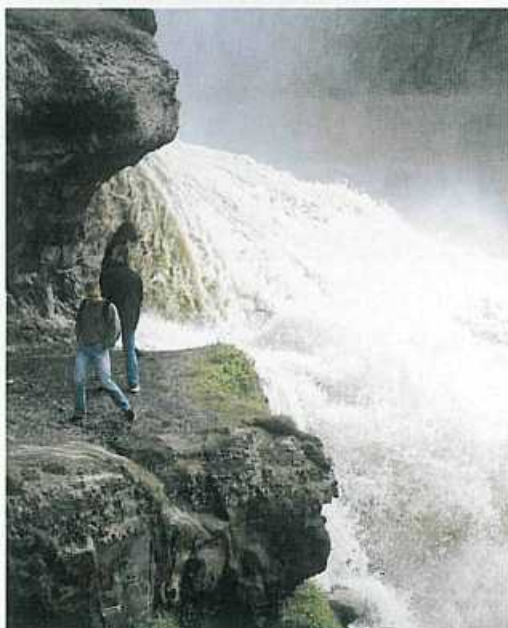
... podobnie jak sterczące z morza skaty



To już Islandia



Erupcja gejzeru Stokkur - to trzeba zobaczyć samemu



Wodospad Gulfoss - wygląda to jak kolorowa kokarda...

Po południu wptynęliśmy do portu Höfn. Od rybaków dostaliśmy całe siatki łososi, a nawet kilkunastokilogramowego dorsza (chyba dorsza). Trzeba nieźle kombinować, aby odmówić czegokolwiek tym sympatycznym ludziom. Przed obiadem poszliśmy jeszcze na odkryty basen.

W temperaturze 7°C widok gromadki gołych dzieciaków, pod równie gołym niebem, pluskających się w basenie był szokujący. Po półgodzinnym prysznicu dołączyliśmy do nich.

Nazajutrz udaliśmy się wynajętym autobusem na wycieczkę w rejon plateau lodowca Vatnajökull: ogromne cielsko lodowca, jezioro z wielkimi pokruszonymi kawałkami lodu przy połączeniu jęzora lodow-

ca z oceanem, malownicze drogi pośród wulkanicznych gór. Po powrocie zjedliśmy upominki od rybaków, tym razem gotowane. Nazajutrz wptynęliśmy w drogę do Vestmannaeyjar - wyspy w południowo-zachodniej części terytorium Islandii. Nieco później pierwszy raz widzieliśmy wieloryby czy delfiny - mniejsza z tym, co to dokładnie było, bo i tak byliśmy podniekscytowani. Należy w tym momencie dodać, że te rejony oceanu, szczególnie w warunkach, w jakich żeglowaliście, to istne pustkowia. Po prostu żadnych statków, czasem na horyzoncie pojawiał się jakiś „rybak”, ale zawsze poza granicą dobrej widzialności.

Naszymi nieodłącznymi towarzyszami były mewy. Są one znacznie większe niż znane mi z Polski. Zdarzyło się, że dokarmiany „ptaszek” porwał chleb wraz z kawałkiem skóry z ręki Dominica, co ostatecznie ukróciło zwyczaj ich podtuczania.

Pech chciał, że przez całą moją wachtę wiatr wiał w przeciwnym kierunku do naszego zamierzonego kursu i zapowiadała się wielogodzinna „halsówka” po płytkiej wodzie wśród stromych nierównych fal, ale jak wstawałem z koi na swoją następną wachtę pływaliśmy już fordewindem, kursem na widoczną w oddali wyspę.

Z wierzchu lawa

Tak więc po 5 godzinach przyjemnej, szybkiej żeglugi znaleźliśmy się w główkach portu Heimaey. Vestmannaeyjar jest w trzeciej części uformowana z wylanej 26 lat temu lawy. Erupcja ta trwała 8 miesięcy i zmusiła do ewakuacji ponad 5 tysięcy ludzi. Wejścia do portu broniła eskadra statków gaśniczych, polewano lawę wodą, aby ta nie zalała główek portu. Jeden z mieszkańców opowiedział nam, że po powrocie usunął ze swojego domu i ogródka 500 ton popiołów wulkanicznych. Teraz na nowej części wyspy zbudowano drogi i kilka budynków. Wyspa odrobiła straty stając się atrakcją turystyczną i bar-

dzo poważnym centrum rybołówstwa na Islandii.

Dreszczyku emocji dostarczyła nam jeszcze przedwieczorna wspinaczka na stromą skałę w celu obejrzenia z bliska stad maskonurów - małych kolorowych ptaszków wodnych. Kolejnego dnia pobytu na Vestmannaeyjar dostaliśmy się do krateru wulkanu.

Ziemia jest gorąca

Lepiej nie wkładać dłoni pod kamienie, bo można się mocno oparzyć. Gdzieś tam ziemia jeszcze paruje. Można odnieść wrażenie, że z krateru jeszcze wydobywa się dym. Na jednym metrze kwadratowym można znaleźć pumeksowe kamyczki w co najmniej 15 kolorach. Krajobraz jak z innej planety. Wzięliśmy ciepłe jeszcze kamienie na pamiątkę i wróciliśmy na jacht wypocząć przed następnym etapem rejsu w kierunku Reykjavíku. Po drodze minęliśmy zatoczkę, w której żyje w dużej klatce orka Kaiko - bohaterka serii filmów „Uwolnić Orkę” (Free Willy). Jest ona przygotowana do wypuszczenia na wolność. Nie widzieliśmy orki, ale klatkę owszem... Dobre i to.

Po zacumowaniu w Þorlákshöfn odkryliśmy, że oprócz kościoła i basenu miasto oferuje tylko okropną pustkę na ulicach. Łatwo wpaść w głęboki marazm. Na szczęście pochłania nas organizacja wyjazdu w rejon źródeł geotermalnych, wódospadów i Reykjavíku.

Wodospad Gulfoss to kaskady brązowej mazi, zwanej wodą, przypuszczam, że zabrudzonej sezonowo, bo widziałem pocztówki ukazujące Gulfoss z krystalicznie czystą wodą. Nie do opisania są wrażenia z erupcji gejzeru Stokkur. Można sobie wyobrazić, że człowiek idzie ścieżką u podnóża góry i nagle tuż obok niego z dużej kałuży strzela w górę dwudziestometrowy słup gorącej wody. Aż strach pomyśleć, co by się stało z kimś, kto wpadłby do tej dziury z wodą, a słyszałem, że takie przypadki się zdarzały.

W pobliżu można znaleźć jeszcze wiele otworów w ziemi z bulgoczącą



To musi być lukratywny interes...



Plateau lodowca Vatnajökull



Wracamy...

w nich wodą o temperaturze ok. 100°C, wydzielającą specyficzną siarcząną woń. W źródłkach tych żyją podobno bakterie i inne organizmy żywe odporne na denaturację białka w panujących tam warunkach cieplnych.

Stolica w przyrodzie za gubiona

Reykjavik jest 160-tysięcznym miasteczkiem, oczywiście zadbanym i uroczym, ale nie jest żadną atrakcją turystyczną w porównaniu z przyrodą, która je otacza.

160 tysięcy to dość dużo, biorąc pod uwagę fakt, że w całym kraju żyje ok. 250 tysięcy ludzi.

W nocy wypłynęliśmy już w drogę powrotną, bo zostało nam już tylko 9 dni rejsu, a przed nami kawał Atlantyku do pokonania. Niestety na morzu między portami zaskoczyła nas niemiła wiadomość o nadciągającym sztormie. Na szczęście nic się nie działo. Pod bezchmurnym niebem i 170-metrowym spinakerem, u wybrzeży Islandii, w towarzystwie kumpli i delfinów wylegiwałem się na pokładzie zajadając się owocami w kremie „amaretto”. Przelatując nad nami myśliwiec wojskowy, patrolujący bezludne wybrzeża swojego kraju, pewnie doceniając nasz trud w sprawianiu sobie przyjemności, zamachał nam skrzydłami.

Kolejny dzień „napiętnowany” został bliskim spotkaniem z ogromnym kaszalotem, który wynurzył się nie więcej niż 10 - 15 m od *PANO RAMY*. Powstał taki harmider, że spiesząca na pokład załogaomal nie

stratowała mnie, stojącego nieprzepisowo w zejściówce.

Wieloryb przed dziobem

Parsknął kilka razy i oddalił się nie zwracając na nas uwagi. Zwierzęta te nie boją się statków i zapewne dlatego są taką łatwą ofiarą ludzi. Pasukudnym doświadczeniem był silny rozkołys bez wiatru, który dawał nam się we znaki przez bardzo długie godziny, ponadto moja wachta miała w tych warunkach dyżur kambuzowy. Przygotowanie kolacji na karuzeli byłoby prostsze. Tego dnia mieliśmy powody do dumy, bo wg GPS-a płynęliśmy aż 10 węzłów (względem dna), co stanowi niezły wynik jak na naszą pocziwą *PANO RAMĘ*. Później, w nocy pobiliśmy chyba rekord *PANORAMY*, płynąc względem wody przy wietrze 6°B, na wszystkich żaglach, z genuą w roli głównej, 9,5 węzła. Przy szybko tężejącym wietrze weszliśmy do Klaksvik Havn na Wyspach Owczych. Poziomo padający deszcz to chyba wizytówka tego miasteczka, dlatego też sprintem udaliśmy się na basen, co robiliśmy we wszystkich portach, które odwiedziliśmy do tej pory.

Zapas euforii

Tam oddaliśmy się kilkugodzinnej zabawie w basenie, jakuzzi i na skoczni, bo wszystko - o dziwo - przykryte było dachem. Po spokojnej nocy chcieliśmy wypłynąć w drogę na Szetlandy, ale nie pozwolił nam na to zbyt silny wiatr.

ugręźliśmy więc w porcie aż do południa, kiedy to nagle przejaśniło się i pożegnaliśmy te malownicze wyspy już w pełnym słońcu i przy przynębiająco słabym wietrze. Kolejna porcja rozkołysu nie nastrajała na miłą żeglugę, więc nazajutrz, pod wieczór zobaczywszy brzegi Szetlandów czuliśmy się „uratowani”.

Rano po przejściu wielu trudnych nawigacyjnie cieśnin zacumowaliśmy

w Lervick

- głównym mieście Szetlandów. W tym roku, w tym miejscu kończył się jeden z etapów „Cutty Sark Tall Ships Race”. Jachty miały się pojawić tydzień po naszym przybyciu, dzięki czemu mieliśmy okazję zobaczyć Lervick w najlepszej swojej kondycji i klarze. Nazajutrz opuściliśmy Szkocję i ruszyliśmy w absolutnej flaucie do Bergen.

Około 100 mil od brzegów Norwegii stwierdziliśmy brak gazu i małą ilość paliwa. Byliśmy zmuszeni limitować napoje w kartonikach i owoce, którymi się od tej pory żywił. Bardzo nieprzyjemnym doświadczeniem była 48-godzinna żegluga na silniku. Szczególnie dla mnie, ponieważ moja koja leżała niemalże na wale śruby napędowej i po kilku godzinach snu po prostu wpadałem w rezonans. Na pokładzie królował niepodzielnie dym z rury wydechowej i każdy sternik po godzinie wdychania tego gazu nadawał się już tylko na kurację w namiocie tlenowym.

Wczesnym rankiem minęliśmy wyspy przy południowym podejściu do Bergen i po zatankowaniu paliwa i gazu zacumowaliśmy w centralnym punkcie miasta. Czuliśmy się jak zdobywcy. Szczególnie, że nasz rejs był oceniany przez wielu rozmówców w porcie jako niezły wyczyn. Jeszcze tego samego dnia staraliśmy się doprowadzić łajbę do klaru, co udało nam się dopiero po 8 godzinach ciężkiej harówki. Nic, ale to nic nie potrafiło już zmącić naszego dobrego nastroju po przygodach, jakie przeżyliśmy i w moim przypadku taki euforyczny nastrój trwa do dziś.
Fot. Sławek Matkowski



Jacht *PANORAMA* należy do Jacht Klubu AZS Wrocław, został wybudowany we Wrocławskiej Stoczni Rzecznej w 1986 roku. Jest to stalowy kecz klasy RIGEL o długości całkowitej 16,1 m, linii wodnej 13 m, zanurzeniu 2,24 m, szerokości 4,35 m i powierzchni ożaglowania podstawowej 100 m². Jacht ma 10 koi: 3 w forpiku, 3 w przejściówce, 3 w kajucie oficerskiej i 1 w kajucie kapitańskiej. W rejsie wzięło udział 10 osób. Termin rejsu: 01 -31.07.1999